



Ferdynand Feldman.

Migawki teatralne.

Fenomenalny okaz aktora, co tyje i tyć nie prze staje... Imputują mu nawet dewizę: „Tyć albo nie tyć — oto jest pytanie.“ Mnie się zdaje, że na to pytanie odpowiedział sobie p. Ferdynand już dawno, oświadczając się stanowczo za pierwszą jego połową...

A zresztą ma wszelkie dane na stopień i rangę aktora-obywatela, aktora we futrze, aktora kapitalisty... *On dit...* I może się nie mylą... Pensja ładna, oszczędny się jest, *monety* się nie puszcza a „szparuje“ — z takich bywają kapitaliści... Ale prawda, to ma być sylwetka artysty...

Pan Feldman jest bezsprzecznie artystą wcale poważnego znaczenia. Na lwowskiej scenie jest już bardzo dawno i stale się podoba. Nie starzeją się ani on, ani jego powodzenie. Jego *vis comica* utrzymuje audytoryum w złotym humorze przez cały wieczór — jak to o nim zwykło się pisać w recenzjach. To prawda. W każdej niemal sztuce znajduje się dla Feldmana rola lub rólka, a w każdej jest bardzo dobrym. Kto go widział w drobnej rólce ordynansa w „Capstrzyku“, nie zapomni go nigdy... Ale bo też się czasem potrafi ucharakteryzować! Krótka: doskonały komik.

Do „nowej szkoły“ Pawlikowskiego musiał i potrafił się dostroić i dzięki temu, nie schodzi z afisza.

Czasami puszcza się na gościnne występy. najchętniej do Warszawy, rzadziej bierze udział jako deklamator czy monologista w dobroczynnych koncertach, a wszędzie towarzyszy mu szczery, serdeczny śmiech i cała fura oklasków... *Nota bene* każe sobie prócz tego dobrze płacić... A warto!

Jest ulubieńcem lwowskiej publiczności, która go chętnie widzi, oklaskuje i która się z niego... śmieje... Taki już los humorystów i komików...

Poza sceną chłop sympatyczny, wesoły i o ile mu tusza pozwala — z manierami... Oj ta tusza!...

Ale wróćmy jeszcze do „Capstrzyku“. Feldman gra ordynansa. Rola mała, polega na tem, że podczas rozprawy wojskowo-sądowej, ordynans wywołuje świadków. Ale jak wywołuje! Jak gdyby komenderował rekrutami na koszarowym podwórku, czego wypadało zaprzestać z powodu przybierającej tuszy, wskutek której zapewne musiał być przydzielonym do lżejszej służby kancelaryjnej.

Stary to wyga ten ordynans, a wygostwo patrzy nie tylko z jego okrągłego brzuszka, który musiał wyjadać kanapki i spijać pilznerka w niejednym handelku, patrzy nie tylko z jego czerwonego nosa, urągającego wszelkim przepisom *eleuteryi*, lecz i z całego zachowania się — wszakże on się nie waha protestować przeciwko rozkazom przełożonych, mówiąc: „to się sprzeciwia regulaminowi“ — a chodziło o rzecz tak prostą, jak podanie wody żołnierzowi z oficerskiej szklanki.

Feldman wcielił się tak wybornie w ordynansa, że się zdawało, iż ma się przed oczyma typowego wyjadacza kancelaryjnego w błyszczącym czaku.

Ostatni raz widzieliśmy go w „Lekkomyślnej siostrze“ Perzyńskiego. Gra przemysłowca, czy fi-

nansiste, który swą lekkomyślną siostrzyczkę chce gwałtem wyrzucić z Warszawy, żeby godnej familijce nie psuła reputacji. Kiedy się dowiaduje, że odziedziczyła jakieś pół miliona, nie posiada się z miłości braterskiej, kiedy zaś widzi, że się tych pieniędzy zrzekła, wybuch jego zawiedzionej chciwości niema prawie granic.

Wszystkie te przejścia wykonał Feldmann niezwykle logicznie i z werwą. Jest chwila, w której brat prawi siostrze owacy pełną przebaczenia. Artysta niemal się poci ze wzruszenia. Za chwilę już, pod wpływem rozrzewnienia, rozrywa krawatkę ze zgrozą i z kołnierzykiem wiszącym tylko na jednej dziurze lata po scenie pełen oburzenia.

Ileż to klejnotów wyczelował pan Ferdynand na deskach polskiej Melpomeny. Przez ileż to wieczorów hipnotyzował widza humorem. Z ilu ról wyrzeźbił bohaterów. Na jednej z kolumn polskiego Panteonu teatralnego winno się złożyć imię: Ferdynand Feldman.

* * *

Młodzieńczy zapał i temperament są w naszym zbławianym wieku nietylko w życiu ale i na scenie rzadkimi zjawiskami. Mamy wielu aktorów o pięknych warunkach zewnętrznych, o metalicznym głosie, wybitnej inteligencji, a nawet wykształceniu, mamy prócz nich cały proletaryat zakulisowy, całą falangę przeciętności i miernot, znanych pod nazwą aktorów „poprawnych“ i „użytecznych“, „sympatycznych“ i t. p. Ludzi utalentowanych z temperamentem i ową werwą, cechującą młodą, pełną zapału i porywów duszę — tych — powtarzamy, jest i na scenie nie wielu. Do niewielu owych należy amant — bohater sceny krakowskiej, Andrzej Mielewski.

Obdarzony z natury pięknymi warunkami zewnętrznymi, a to: wyniosłym, zgrabnym wzrostem, ruchliwą, wrażliwą maską marzącymi niebieskimi oczyma — posiada w równej mierze i warunki wewnętrzne: inteligencję, artystyczną „domyślność“ czyli t. zw. intuicję, co wszystko razem, wspierane niepoślednim talentem, przy wrodzonym zapale artysty — postawiło go w krótkim czasie na wybitnym stanowisku. Charakterystycznym jest głos Mielewskiego. Drga w nim zawsze melancholijna nuta tęsknoty, a w wybuchu posiada siłę dzwiczącego spiżu.

Mielewski, jak ogółem przeważna część naszych artystów, przechodził praktyczną szkołę dramatyczną, którą jest i była dla polskiego teatru: prowincya. Jednym z głównych etapów zawodowych był dla niego teatr stanisławowski, będący wówczas pod mistrzowskim kierownictwem niezapomnianego w dziejach teatru dyrektora: Lucyana Kwiecińskiego. W krótkim czasie zdobył sobie tamęzną publiczność i już jako artystycznie dojrzały aktor przyszedł za dyrekcji Pawlikowskiego do Krakowa.

Krakowa nie opuszczał dotychczas — żył się z tem miastem podobno jak i ono z nim się żyło i ku chlubię i pożytkowi sceny naszej pracuje, wybiwszy się ponad tłum miernot. Obecnie Mielewski jest drugim reżyserem krakowskiej sceny.



Już Świąt zwiastuny: sosny i choinki
Przyzdobiły nam place i rynki
Niosąc wśród miejskich kominów i dachów
Złudzenie lasu i leśnych zapachów.
Biedna choina!... tak zawsze rok rocznie
Gdy przedświąteczna era się rozpocznie
Wyrwana z lasu, gdzie swobodnie wzrasta,
Gdy go z pod niskiej strzechy głód wypędza
Jak chłop za służbą wędruje do miasta
Brak chleba w domu i ostatnia nędza. —
Marzy, że wróci do chaty — o wiosnie
Lecz chłopu bez wsi, jak bez lasu sośnie
I na obczyźnie wśród tułaczkiej doli
Oboje giną na bruku powoli!...

Lecz dziś mniej jakoś jest choinek w mieście,
Czyżby handlarze zrozumieli wreszcie,



Andrzej Mielewski.

Że dla zabawki trwającej dni parę
Szkoda jest dawać lasu na ofiarę?
Że szkoda niszczyć kupiecką siekierą
Młodych drzewinek wzrosłych co dopiero?
Nie! tych skrupułów nie mają handlarze!
Wierzą w to tylko, co interes każe,
I rąbią lasy, tak jak je rąbali
Tylko, że towar swój wywożą dalej
I młodych drzewek ładowne wagony
Idą z Galicyi — hen! — w dalekie strony!
Bo człowiek w handlu sentymentów nie zna —
Idą choinki do Berlina, Drezna,
I zaprzędane w niewolę niemiecką
Niejedno szwabskie uradują dziecko
Potem do pieca są zaś przeznaczone
Prusak przedsięwziął swych lasów ochronę,
Przemysłni kupcy — usiłują zatem
W Polsce się łupem obłowić bogatem
Zarówno drzewa jak i ludzi biorą
Bo na tym handlu zarabiają sporo.

Ogółem smutne dla Krakowa święta
Chorego mamy w mieście prezydenta,
A choć szczęśliwie już minęła krisis
Nieprędka jego zobaczymy fizis!

W teatrze wielki nasz Kamiński gości
I daje poznać polskiej publiczności
Co znaczy sztuka prawdziwa i czysta.
To wielki kapłan — to wielki artysta
Lecz szkoda, że wśród złego otoczenia
Blednie cokolwiek blask jego imienia.
Niech dla teatru będzie dyrektywa,
Że winien karmić nas strawą godziwą,
Że my prawdziwej sztuki pożądamy
Precz sztuki w guście od Maksyma damy!

Oto stosunków obraz niewesoły
Smutne są święta, kiedy człowiek goły
I chyba tylko to jedno pociesza,
Że goła razem z nim współbracia rzesza.
Goły kraj, naród, gołe wszystkie stany
I trudno lepszej spodziewać się zmiany,
Chyba, że niebo obdarzy potopem,
Lecz nie deszczówką, ale szczerem złotem
A wtedy każdy dość grosiwa zbierze
Czego i sobie i Wam życzę szczerze!...

Krk.

Kącik humorystyczny.

W Lublinie trupa dramatyczna Barzibadzikiwicz grała sztukę w której jeden z bohaterów już w pierwszym akcie w łeb sobie strzela. Artysta tę scenę samobójstwa oddał z takim realizmem, że publiczność poczęła wołać bis! bis! — zatem artysta podniósł się ze ziemi i jeszcze raz w łeb sobie strzelił.